

Nie loty



Powieść o sile przyjaźni i mocy nadziei

MATEUSZ CIEŚLIK

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Natalia Kostka

Korekta: Sylwia Zazulak

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/mielot>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0304-3

Copyright © Mateusz Cieślak 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Śniło mu się, że lata. Gdy się obudził, przetarł twarz dłonią i pochylił się nad stolikiem. Chciał sięgnąć po gazetę, ale ktoś znów musiał mu ją przełożyć. Bynajmniej nie chochliki, a zapewne Amelia, która po raz kolejny wymyśliła sobie, że stworzy z masy papierowej najwspanialszą budowlę wszechświata. W porządku — byle nie w salonie, nie na nowym dywanie. Dziewczynka, jak to dziecko, paskudziła wszędzie, gdzie tylko się dało. Nie było to jednak coś, co by szczególnie przeszkadzało Filipowi. Miał się za nie najgorszego ojca, ale kto z dorosłych lubi rozgardiasz?

Omiótł wzrokiem stolik, kawa byłaby teraz wybawieniem. Musiał w jakiś sposób się pobudzić, uciszyć głosy w głowie. Na jawie było prościej, w snach często nawiedzały go wszelkiej maści zmyry i musiał przeżywać całe spektrum emocji, z którymi wcale nie chciał się zmagać. Nie żeby w jakiś sposób nie mógł przez to funkcjonować, ale czarne myśli czasami mu doskwierały, niejednokrotnie w najgorszych momentach życia.

Kawy nie znalazł, ale zgnieciona puszką pepsa pozwoliła wydobyć z siebie jeszcze łyk. Pewnie pozostawiona przez Karola, a przecież Filip powtarzał wielokrotnie, że

nie życzy sobie, by dzieci piły takie świństwo. Miał za miękkie serce.

Wycisnął z puszki ostatnią kroplę i zgniótł ją nogą.

Na strychu znów rozległ się stukot, jakby ktoś prznosił ciężkie meble. Pewnie żona Filipa zabrała się za ostatnie porządki przed przeprowadzką do większego, więc — co oczywiste — lepszego miasta. Przecież przyszłość dzieci to nie przelewki i Filip dobrze o tym wiedział, więc nie protestował, mimo że nie był entuzjastą tego pomysłu.

— Filip! — rozległo się wołanie ze strychu.

Co więc mu pozostało? Żona wezwała, więc podniósł się z kanapy, choć wciąż był ospały, kroki też stawał niezbyt równo, jakby wracał z baru, a nie drzemki. Schody nie byłyby problemem, gdyby nie walające się na nich tabuny zabawek. Panele lśniły tak, że ktoś je musiał pucować od rana.

Kilka głębokich wdechów i mógł iść dalej. Kolejny pi-ruet, by nie wdepnąć w kredki świecowe rozrzucone po schodach gęsto niczym ładunki wybuchowe w strefie wojny. Po chwili był już na górze.

— Filip! — zawołała ponownie.

— Idę, idę! — krzyknął, choć był to tak słaby i żalony krzyk, że przypominał bardziej wołanie o pomoc. Zawsze potrzebował chwili, by się dobudzić. „Nie od razu Kraków zbudowano” — mawiał.

Drabinę, która prowadziła na strych, pokonał zaskakująco sprawnie. Poszło mu lepiej niż na schodach, co było niesłychane, napój musiał zacząć działać.

Zapachniało wilgocią. Poddasza nikt nie oporządzał od bardzo dawna. Wyprowadzka była w tej kwestii bezwzględ-

na i nie pozostawiała wyboru — trzeba było przetrzepać każdy zakątek domu.

Wychylił głowę ponad poziom podłogi, pozostało jeszcze tylko kilka stopni. Zlustrował spojrzeniem pomieszczenie i uświadomił sobie, że nie był na strychu od bardzo dawna: było tam ponuro, podłoga skrzypiała, dach zdawał się już nie być w tak dobrej kondycji jak za czasów jego dzieciństwa.

Pomyślał, że mógł bardziej zadbać o nieruchomość, że mógł poświęcić jej więcej czasu, trochę olał temat, trochę dał ciała, trochę miał to gdzieś, ale ostatecznie nie biczował się z tego powodu. W końcu miał się wyprowadzić do większego miasta, a większe zawsze oznacza lepsze.

Pomieszczenie było zawałone czym tylko się dało: deskami, farbami, kartonami, zimowymi akcesoriami, starymi narzędziami i materiałami budowlanymi. Wszystko spowite było grubą warstwą kurzu. Gdzieś tam musiała być bestia, która tego dokonała... Wielka, włochata, o ośmiu odnóżach... Byleby jej nie spotkać.

I gdzieś pomiędzy tym wszystkim Filip dostrzegł twarz małżonki, jej śniadą cerę, kasztanowe włosy, oczy urocze, piękne, niebieskie, duże, w takich można by się zatopić, ale usta miała wygięte w podkowę. Patrzyła na niego spode łba wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. Dotarło do niego, że głupio zrobił, przychodząc tutaj. Mógł przecież udawać, że go nie ma, że pojechał do galerii, bo go poprosiła o to Amelka, albo że zawiózł Karola na trening. Mógł wykombinować cokolwiek.

Wdrapał się do pomieszczenia i otrzepał spodnie. Rzucił jakimś żartem, dość kiepskim, ale powieka jej nawet nie

drgnęła. Nie to, żeby była jakąś jędrą, ale jego żarty rzadko ją rozweselały. Filip uchodził raczej za ponurego człowieka i tak wszyscy do niego podchodzili, nawet najbliżsi.

— Znalazłam coś ciekawego — rzuciła, świecąc na to „coś” latarką.

Wyraźnie widział, jak ściągnęła brwi. Minę miała poważną. Ale dlaczego? Kobieta nie była choleryczką, a przynajmniej Filip jej za taką nie uważał. Była raczej jedną z tych „dobrych żon”, a on raczej jednym z tych „dobrych mężów”, a przynajmniej tak starał się o sobie myśleć.

— Kim jest Klara? — zapytała w końcu.

Po tych słowach zamarł. Przełknął ślinę. Jeśli nawet jakieś resztki uśmiechu tliły się gdzieś w kąciку jego ust, teraz zniknęły z twarzy zupełnie. Światło lampy zawieszanej na kablu pod sufitem oświetlało jego ziemistą cerę.

Kobieta odstąpiła sporej wielkości skrzynię, której drewno już dawno sparciało. I wtedy wszystko stało się jasne.

— Zdawało mi się, *misiu*, że nie mieliśmy przed sobą tajemnic, gdy ślubowaliśmy sobie miłość przy ołtarzu.

Zwrotu „misiu” używała bardzo rzadko. Tylko wtedy, gdy była na niego naprawdę wściekła. „Miś” w tej sytuacji nie nosił znamion życzliwości.

Była wściekła, to oczywiste. Która by się nie wściekła, gdyby po latach odkryła jakąś Klarę? Filip jednak nie wyglądał, jakby przyłapano go na czymś niedozwolonym. Nie zrobił się na twarzy purpurowy, a raczej poblądł, jakby zobaczył ducha.

Opadł ciężko na krzesło, wokół wzbiły się tumany kurzu. Patrzył na skrzynię pustym spojrzeniem, takim, które jasno wskazywało na to, że nie powinno się na niego naciskać.

Skierował wzrok w podłogę. Na pierwszy rzut oka mógł wyglądać jak zbity pies, który będzie musiał zaraz przyznać się do winy i przeprosić za swoje haniebne zachowanie. On jednak puszczał mimo uszu wszystko, co mówiła do niego żona. Kluczył ciasnymi korytarzami w głowie, brodził w odmętach pamięci. Wspomnienia wracały i uderzały go w tym momencie z niewyobrażalną dotąd intensywnością.

— Będziesz tak milczał? — Jej głos był ostry, pełen wyrzutów.

Unióśł głowę i musiała dostrzec konsternację na jego twarzy, bo jej postawa zmieniła się momentalnie: z wyprostowanej postury i rąk splecionych na biuście na przygarbioną z rękoma spuszczonej w dół.

Przykucnęła, musnęła go palcem po karku.

— Może za bardzo się uniosłam — szepnęła. — To tylko głupia skrzynia, może nie powinnam była na ciebie tak naskakiwać. Równie dobrze ta skrzynia mogła należeć do kogoś innego, może do twojego ojca? Może ta Klara to ktoś z czasów jego młodości...

— Nie — uciął chłodno. — To moja skrzynia. To moje pamiątki.

I znów na jej twarzy zawitał grymas złości. Odepchnęła go i machnęła ręką.

— Filip, spójrz na mnie, serio, w co ty pogrywasz? Opowiedziałam ci o wszystkich moich byłych, znałeś każdy pieprzony szczegół. Oczekiwałam tego samego. A teraz co? — Między palcami tarosiła kartkę. — „Na zawsze twoja, Klara” — przeczytała. — Co to jest w ogóle za skrzynia? A co to za konstrukcja? — Wyciągnęła coś dużego i białego. — To gips? Miałeś kiedyś rękę w gipsie? Nic

nie mówiłeś. Ja mówiłam ci o złamanym palcu, odmie, że raz byłam na izbie przyjęć z rozciętym kolanem, i o problemach z cerą. Opowiedziałam ci każdy szczegół mojego dzieciństwa. Serio, misiu, nie chcę wyjść na jakąś choletryczkę, ale co to za skrzynia? Co to za podpisy na kartce? „Majkel Andżelo”, „Dzejms Dikens aka Mały Di”, „Eliza Borowska”? Zaraz. — Zbliżyła się do światła. Teraz Filip już wyraźnie widział złość malującą się na jej twarzy. — Kim jest ta Klara? To jakaś twoja pierwsza miłość? Znasz mnie, wiesz, że nie znoszę tajemnic. Gdy pytałam cię jedenaście lat temu, przed zaręczynami, o twoje byłe, liczyłam na szczerą odpowiedź... Czy ja się zachowuję histerycznie? Serio, czy ja wymagam za dużo? Po prostu powiedz, Filip, bo ja nie wiem, czy teraz wychodzę na jakąś idiotkę, czepiając się czegoś takiego? Ale czuję się z tym źle, zaczynij wreszcie mówić... Jezu, Filip, ja się prosić nie będę. Idę na dół. Tylko mi podniosłeś ciśnienie. Zrobię kolację Amelce i zadzwonię do Karola, bo powinien być już w domu. Pewnie włączy się z tym swoim kolegą po całym mieście, niech on tylko coś przeskrobie, powinieneś coś mu powiedzieć. Ostatnio nas w ogóle nie słucha. Nim się obejrzymy, będzie ganiał za dziewczynami, zobaczysz.

— Zaczekaj — rzekł, łapiąc ją za rękę.

Patrzyła na niego pytająco.

— Po co? — burknęła.

— Opowiem ci o wszystkim.

Usiadła i otaksowała go wzrokiem. Ciekawość biła z jej twarzy, to jasne, nie odmówiłaby sobie wysłuchania historii Filipa, który tak rzadko się otwierał. A o swojej przeszłości to już w ogóle mówił od wielkiego dzwonu. Wiedziała,

że jest bardziej skryty od niej, ale mieli nie zatajać przed sobą żadnych związków z przeszłości.

Ścisnęła jego lodowate dłonie.

— Opowiem ci o Klarze i opowiem ci o lecie, które na zawsze zmieniło moje życie.



Rozdział 1

Lato w dwa tysiące szóstym roku było niesamowite, jak zresztą każde lato w tamtych czasach. Ganialiśmy po wsi, choć nie nazywaliśmy tego wsią — przecież Pawlice miały ponad tysiąc mieszkańców, czyż to nie obligowało nas do nazywania jej małym miasteczkiem? Więc ganialiśmy po małym miasteczku i zawsze było co robić.

Miałem szesnaście lat. Wciągałem zapachy pełną pierśią, były czymś rześkim, świeżym. Czasami, rzecz jasna, zaleciało krowim plackiem, ale rzadko. To nie była „taka wieś”. Domy stały obok siebie, pole uprawiano jedynie na obrzeżach, a trawa gęsto ścieliła podwórza, można było zatopić się w niej jak w śniegu i robić orły.

Nikt się nie spieszył, życie płynęło nam wolno.

Nawet ojciec, który o świcie wstawał do pracy, a wracał wieczorami, sprawiał wrażenie osoby wyluzowanej. Na utrzymaniu miał mnie, mamę i siostrę, a kroki zawsze stawiał ociężale i bez pośpiechu. Zawsze powtarzał coś o diable i że nagle, ale nigdy nie potrafiłem tego zapamiętać. Szczerze powiedziawszy, niewiele mi do tej głowy wchodziło, a już zwłaszcza to, co mówił tata.

Gdybym to usłyszał od jakiejś dziewczyny, to zupełnie inna sprawa — miałbym jej słowa w głowie do upadłego.

Tamtego lata na spółkę z kumplem kupiliśmy motorynkę, mogliśmy nią jeździć, posiadając kartę motorowerową. Nie mieliśmy jej, ale prawdę powiedziawszy, mało nas to obchodziło. Kto miałby nas niby przyłapać? Policja? W Pawlicach? Nawet radiowozu nie widzieliśmy na oczy, jedynie mężczyznę, który jeździł grającym samochodem z lodami. I ta melodia była słyszana znacznie częściej niż policyjny kogut.

Mieliśmy tego lata z kumplem mocne postanowienie i byliśmy niezwykle zdeterminowani. Liczyliśmy, że może przy pomocy motorynki łatwiej będzie nam zaimponować płci przeciwnej. Och tak, to był nasz temat numer jeden, wiecznie na tapecie. W Weronice kochali się wszyscy. Jezu, jakie ona miała ciało, a włosy i twarz? Była nastolatką, a mogłaby spokojnie występować na paryskich wybiegach. Seksbomba — tak się o niej mówiło.

Ja i mój kumpel nie mieliśmy za sobą zbyt wielu podbojów. On kilka razy całował się ze starą Białecką, starą, bo była po dwudziestce, a że nie miała brania wśród rówieśników, często wpadała na popijawy do nas — dumnych przedstawicieli trzeciej klasy gimnazjum. Ja miałem jeszcze mniejsze doświadczenie w tej materii: raz dotknąłem ust Agaty Błoch i raz, po jednym piwie, objąłem w tali młodą Dąbrowską i przytuliłem się do jej piersi.

I to był mój absolutny Mount Everest.

Jednak nie myśleliśmy z kumplem ani o starej Białeckiej, ani o Agacie Błoch, a już tym bardziej nie o młodej

Dąbrowskiej. Myśleliśmy tylko o Weronice. Nie interesowało nas to, że jest nas dwóch i w końcu będzie musiała zdecydować się na jednego. To nie miało znaczenia. Byliśmy tak zdeterminowani, że gotowi odpuścić, gdyby między któryś z nas a nią zaiskrzyło. To by oznaczało, że któryś z nas ją poderwał, a co za tym idzie? Jeśli któryś z nas zdobyłby Weronikę, to oznaczałoby, że na świecie wszystko jest możliwe! Że świat leży u naszych stóp! Że możemy być, kim tylko zechcemy!

Motorynka okazała się niewypałem. Weronika nawet się do nas nie odezwała. Zerknęła tylko kątem oka, gdy pewnego razu mijaliśmy ją naszym motocyklem, z którego rury wypływało dymem niczym z komina lokomotywy, i zaśmiała się. Pewnie zareagowała tak dlatego, że jeździmy jakimś gruzem. Wyśmiała nas, bo byliśmy żałośni.

Był też inny problem... Całe lato w dwa tysiące szóstym roku nie była zainteresowana nikim innym poza Rafałem. Gość był nie w kij dmuchał. Imponował nam. Był zaledwie rok starszy, ale kopcił papierosy jak smok, podkradał je matce. Nie bał się też wydzierać na całe gardło i obić komuś ryja na kwaśne jabłko. Miał w sobie to coś. Coś, czego brakowało nam. My chcieliśmy tylko móc usłyszeć jej głos, piękny i słodki, pocałować jej pełne usta, przytulić jej delikatne ciało. Jezu, tylko móc dotknąć jej piersi. Tylko tego pragnęliśmy.

— Fifi — powiedział do mnie kumpel, gdy przeżykaliśmy gorycz porażki. Nazywał mnie tak, bo tak nazywał swojego syna Jacek Kwiatkowski z *Rodziny zastępczej* i tak się jakoś przyjęło. — Sprzedam ją Kubie. — Wskazał palcem na motorynkę, bo nie rozumiałem, o co mu chodzi. —

Przecież i tak nie stać nas na paliwo, a z Weroniką wyszło jak zwykle.

Nie byłem zły, że po raz kolejny zaliczyliśmy wtopę, bo w głębi duszy o tym wiedziałem, ale pojawił się jakiś taki żal.

— Może spróbujemy z nią pogadać? — zaproponował.

— Chyba żartujesz — odparłem. — Pamiętasz, co było ostatnim razem? Jąkaliśmy się jak idioci. Stanęliśmy przed nią i udało się wydukać zaledwie...

— *Jesteś...*

— Dokładnie.

— Fifi, trochę z nas pizdy, co nie?

— Trochę tak.

Czułem żal do rodziców. Gdyby mieli trochę więcej kasy, mogliby mi kupić lepsze ciuchy, może dołożyć na lepszą motorynkę. Może wtedy Weronika w ogóle by na nas spojrziała? Była idealna w każdym calu, my nie.

Miałem szesnaście lat i mogłem poszukać pracy, ale w Pawlicach nie było co robić. W spożywczym zatrudniali dopiero od osiemnastki, na polach pytałem, zresztą do dziadów się też nie chciało chodzić, a do miasta za daleko. Wprawdzie jeździł bus, ale tak między Bogiem a prawdą — średnio mi się chciało pracować. I może to był ten główny powód.

Z rodziną dogadywałem się nieźle. Niestety siostra weszła w ten dziwny wiek i całe lato była nieznośna! Biegała zawsze skarżyć matce, że rozsiewam zapach fajek lub że pachnę piwem, a nie, przepraszam, jakie pachnę, „śmierdzą” piwem jak z gorzelni. Poniewczasie zrozumiałem, że to z troski, ale z początku była mnie w stanie tym po prostu podpalić.

Ojciec miał ciężką rękę, potrafił zrugać tak, że odechciało się żyć. Choć im byłem starszy, tym rzadziej to robił. Chyba w pewnym wieku zrozumiał, że kiedyś mogę oddać.

Co do matki — była wyrozumiała, nie dało się na nią powiedzieć złego słowa.

Jedno wiedziałem na pewno — rodzice kochali mnie i chcieli dla mnie jak najlepiej. A to, że ich „jak najlepiej” mijało się z moim odczuwaniem tego pojęcia, to już inna sprawa.

Bywało, że miałem z nimi na pieńku, acz nie były to kłótnie tak wielkie, że ściany całe chygotały się pod ciężarem wrzasków. Raczej określaliśmy je mianem zażartej dyskusji, a im byłem starszy i moje argumenty stawały się bardziej merytoryczne, tym więcej mogłem ugrać.

Szkoda tylko, że sprzeczailiśmy się prawie o wszystko! Cały czas powtarzali mi, że powinienem wydorosnąć, stać się bardziej odpowiedzialny. Wziąć odpowiedzialność za moją siostrę. Co to w ogóle znaczy: wziąć za kogoś odpowiedzialność? Robić za niego rzeczy, żeby miał lżej w życiu? To prawdopodobnie jeden z tych pustych frazesów, które się powtarza każdemu, by poczuł się winny. Sporo było ich w kościele, czasami miałem wrażenie, że chodzi się tam tylko po to, by wzbudzić w sobie poczucie winy.

Raz nawet zapytałem kumpla, co on myśli o tym całym braniu odpowiedzialności. Odparł, że to jakaś głupota i żebym się tym nie przejmował, po czym wróciliśmy do tematu motorynki.

Dzieciństwo jak dzieciństwo. Gdyby nie to, że czasami brakowało kasy, byłoby idealnie. Chciałem, żeby było idealnie. Stawiałem dolary przeciwko orzechom, że tak by

właśnie było, gdyby trochę więcej grosza walało się po kieszeniach. Może wtedy Weronika patrzyłaby na mnie inaczej. Może wtedy to ja bym z nią chadzał na deskę, przytulał, całował czy kochał się z nią pod nieobecność rodziców w tym jej dużym domu z okutym czarnym płotem. Może tak by właśnie było.

Latem mieliśmy masę do roboty. Ogrywaliśmy *Grand Theft Auto*, trochę się grało w *Heroesy*, co z tego, że na komputerze kupionym za pieniądze z komunii siostry, traktowałem go jak swój.

I, oczywiście, uganiałem się za spódniczkami. Brałem kasę na piwo i wpadałem co środę za szkołę, by pić z kumplami, śmiać się z dziewczynami i, co oczywiste, obserwować Weronikę, mając nadzieję, że może tym razem spojrzy na mnie albo na mojego kumpla. Tak — mogłaby spojrzeć nawet na niego. Kodeks przyjacielski mówił jasno, że w takich sytuacjach kumpel musi ustąpić. Nie było rady.

Na jednej z takich popijaw zaczęła mnie Alicja Markiewicz — dziewczyna lubiana i dosyć popularna, brała udział we wszystkich sportowych zawodach szkolnych i większość wygrywała, więc zdziwiłem się, że zagaduje właśnie mnie.

Usiadła blisko, czułem jej zapach. Może lawenda, a może nie? Tak się zazwyczaj mówiło, że ktoś pachnie lawendą, to znaczy, że dobrze. Rozsiewała wokół siebie woń perfum, które ciotka przywoziła jej z Niemiec. To już nie komuna, u nas też były perfumy i wszelkiej maści zapachy, ale jak to wszyscy powtarzali — nie takie jak z Niemiec.

Omiotłem wzrokiem kilka osób, ale zdawało się, że każdy zajmuje się sobą, swoim piwem, swoimi papierosami,

obmacywaniem swojego chłopaka czy swojej dziewczyny. Czułem na sobie jedynie zazdrosny wzrok kumpla, że dziewczyna przysiadła się do mnie, a nie do niego... „A co, do cholery, z kodeksem przyjacielskim?” — pomyślałem.

— Co tam? — zagała mnie w końcu Alicja.

Siedziała bardzo blisko i gapiła się na mnie, jakbym miał zaraz odpalić jakąś bombę. Wiedziałem, że to banał, ale mogłem zatopić się w jej oczach. Gdy przygryzła wargi, zrobiło mi się cieplej. Wzrok kumpla dalej był surowy, zazdrosny. Pewnie dlatego, że ramiona miała odsłonięte, niby nic, ale robiło to na mnie spore wrażenie. W końcu moje podboje to zaledwie dotknięcie ust Agaty Błoch i objęcie w tali młodej Dąbrowskiej. Odkryte ramiona to było dla mnie coś. Krótkie spodenki ciasno oplatały jej uda. I przez to było jeszcze cieplej.

Wziąłem haust piwa, chciałem w ten sposób jakoś schłodzić swój entuzjazm. Ona zrobiła to samo, jednak wgapiała się we mnie. Patrzyła na mnie, jakby próbowała coś wyczytać w moim wyrazie twarzy. Zastanawiałem się, skąd ona czerpie tę pewność siebie. Ja nie czułem się tak swobodnie, chociaż skrytym introwertykiem też bym się nie określił. Byłem czymś pomiędzy. Oceny pomiędzy, rodzina pomiędzy, mój średniej wielkości dom stał pomiędzy dwoma większymi posiadłościami.

— Co tam, Fifi? — ponowiła pytanie.

— Nic szczególnego.

Powiedziałem tak, bo myślałem, że dzięki temu zabrzmie bardziej, jakby mi było wszystko jedno. Kumpel złapał się za głowę, sugerując mi, że tymi dwoma słowami pogrzebałem już swoje szanse. Z jego twarzy spęzła

zazdrość, ustępując trosce, i chyba wszystko wróciło na właściwe tory kodeksu przyjacielskiego.

— Fifi, na którą z nas się tak gapisz? — zagaiła, ale nikt poza mną i kumplem tego nie słyszał, bo siedzieliśmy trochę z boku.

Przełknąłem ślinę. Jasne, że na Weronikę — to było oczywiste. Nie byłem na tyle głupi, by to powiedzieć Alicji i spalić się na starcie. Nie byłem też na tyle podchmielony, by odważyć się na jakiś podtekst erotyczny. Poleciałem więc czymś najprostszym. Jak to cały ja — zawsze pomiędzy.

— Pewnie, że na ciebie.

— Oj, tylko tak mówisz — zaśmiała się, klepiąc mnie w ramię. — Ale serio, Fifi, chcę wiedzieć.

— A na kogo ty się tak gapisz? — Odbiłem piłeczkę. Byłem cierpliwy niczym saper, nie było miejsca na błąd.

— Jezu, przecież wiadomo, że na Rafała. — Była szczerą. Do bólu. — Jak cała reszta. A ja ci się podobam, Fifi?

Wiedziałem, że to pytanie pułapka. We flirtach nie byłem orłem, ale nie szło mi też najgorzej, nie tak źle jak kumplowi, który wciąż siedział sam.

Szybko zmobilizowałem się do działania. Mój mózg wiedział, że musi być w stanie pełnej gotowości. Szykowałem się na to szesnaście lat!

Objąłem ją ręką i nieco przyciągnąłem do siebie. Ciasno oplotłem jej talię. Chciałem tego, więc objąłem ją mocno, jakbym obejmował talię Weroniki. Dłoń położyłem na jej udzie. Normalnie by mi drgnęła, ale po to wypilem dwa żubry, żeby tak nie było. I spełniły swoje zadanie, bo byłem opanowany niczym chirurg.

— Przecież wiesz, że tak — odparłem.

Endorfiny rozbiły mi się po czaszce, jakbym się natykał czegoś, co rozprowadzał starszy brat Rafała. Ten to był dopiero kozakiem, miał własny biznes w branży spedycyjnej. Znaczy się — rozprowadzał dragi.

Na jej widok serce waliło mi jak wpędzone w ruch uderzeniami młota. Czekałem na jej reakcję. Sekunda, dwie, trzy. Zaśmiała się i położyła głowę na moim ramieniu. Wiedziałem, że wygrałem. Kumpel też to wiedział, kątem oka widziałem radość na jego twarzy. Czuł się, jakby do niego też przylgnęła Alicja Markiewicz. Mały krok dla człowieka, wielki skok dla ludzkości.

Objąłem ją w pasie, gdy ktoś krzyknął:

— To się pierdol!

To był Rafał. Chłopak cisnął puszką w betonowe boisko do koszykówki i splunął na ziemię. Weronika zalała się rzewnymi łzami. Od razu zrozumiałem, że musieli się pokłócić.

Spojrzałem na Alicję, ale ta nic sobie z tego nie robiła, jakby takie zachowanie Rafała było rutyną. Ja jednak nie czułem już tego samego tryumfu. Wiedziałem, że to moja okazja. Że mogę uderzyć do Weroniki. To jej chciałem, jej pragnąłem. Chciałem ideału, a ona nim była. Nie miała wad, ona nie miała pieprzonych wad. Była jak księżniczka z bajki Disneya.

Wstałem i przeprosiłem Alicję. Mina momentalnie jej zrzędła. Musiała poczuć się przeze mnie złana, a nie byłem wcale jakąś niesamowitą partią. Kumpel wgapiał się we mnie, jak na postać z uniwersum DC. Widział, co planuję zrobić. Bał się, bał się o mnie jak nigdy wcześniej. Myślał, że mogę paść w tym starciu, że mogę zginąć w okopach.

Że mogę nie dać sobie rady z wrogiem dysponującym pełną ciężką artylerią.

Usiadłem obok Weroniki. Spojrzała na mnie, łzy spływały jej po policzkach, wyglądała tak niewinnie, tak słodko, więc od razu przystąpiłem do działania.

Pierwsza salwa: zapytałem, czy wszystko OK. Nie jąkałem się. Żubry były ze mną. Kumpel był ze mną. Alicja ze mną nie była, ale również patrzyła zaskoczona, bo najwyraźniej się tego po mnie nie spodziewała. Zaraz, czy wszyscy wokół klaskali? Nie, to podpowiadała mi tylko moja bujna wyobraźnia.

— Tak — odpowiedziała, jękając się i połykając łzy.

Objąłem ją. Jezu, nigdy wcześniej się tak nie czułem. Miała tak idealnie miękką skórę, a zapach jej skóry to coś, co można było określić zapachem lata.

Powiedziała, że jej zimno i że chce wracać do domu. Wtedy wszystkie synapsy w moim mózgu połączyły się i nie byłem już człowiekiem, stałem się cyborgiem. Olśniło mnie. Byłem jak ten Peter Parker ugryziony przez pająka. Przez ten krótki moment byłem niezniszczalny i wiedziałem, co mam robić.

Nie zwlekałem ani chwili dłużej, tylko wstałem i stwierdziłem:

— Zawiozę cię do domu.

— Czym? — Uniosła brwi, lekko prychnąwszy.

Chyba była zdziwiona, że taki przychlast jak ja może mieć coś, czym mógłby ją odwieźć.

— Mam motorynkę. Zmieścimy się.

Wzruszyła ramionami, co w jej przypadku zawsze oznaczało zgodę. Gdy czegoś nie chciała robić, zaprzeczała

wielokrotnie. Nigdy jednak nie przytakiwała, więc taki gest musiał oznaczać, że jest zainteresowana.

Puściłem się chodnikiem, choć, rzecz jasna, wcześniej przeszedłem kilka metrów na luzaku, by nie wzbudzać podejrzeń, ale już po chwili gnałem jak na złamanie karku. Miałem w głowie miliony myśli.

Wszyscy twierdzą, że przed śmiercią całe życie przelatuje nam przed oczami. Ja się właśnie tak czułem. Dosłownie. Nie tylko przeszłość, ale przed oczami ukazała się nawet przyszłość. Ja, ona, weranda, domek. Kochamy się tam każdej nocy. Przemawiała przeze mnie naiwność? Być może. Ale to była Weronika. I tylko to się liczyło.

Kumpel najwyraźniej zwietrzył podstęp, bo wystrzelił jak z procy zaraz za mną. Był dobrym kumpem, nie wtryniał się. Nie postanowił nagle, że to on powinien odwiedzić Weronikę. Nie burzył się, że motorynka była kupiona na spółkę. Nawet się nie zachnął. Dobry kumpel.

Mieszkałem dość blisko boiska, więc w domu znalazłem się w mgnieniu oka. Siostra w progu. „Mamo on palił i pił! Czuję to!”. Szybko ją odepchnąłem. „Z drogi, won, robaku!”. Mogłaby sobie złamać rękę, fakt, ale przecież Weronika... Przez dom popędziłem do komórki. Krzyk matki. „Filip! Jak wyczuję, że piłeś, dostaniesz, zobaczysz!”. Wytaszczyłem z komórki motorynkę. Pal łycho z kaskiem! Rozjeżdżałem się dookoła. Kumpel już otwierał bramę. Ojciec pił piwo na tarasie, musiał sobie uciąć komara, bo mnie nie zatrzymał, a może nic nie było w stanie mnie zatrzymać!

Spojrzałem w górę i wykonałem ostatni głęboki wdech. Było gwieździcie. Nocne niebo zawsze takie było w Pawlicach. Słyszałem żaby i pasikoniki. Słyszałem odgłosy

nocnej dżungli. Księżyc bił blaskiem tak mocnym, jakby chciał mi dodać otuchy i rozświetlić drogę. „Masz, Filip, jedź, oświetlę ci drogę, czym prędzej, nie mamy ani chwili do stracenia, na co jeszcze czekasz, głupcze, ona tam jest!”.

Odpaliłem pojazd, silnik zaterkotał. Chwała niebiosom! Wsiadłem i przejechałem kawałek. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że wypilem dwa piwa. Wówczas zdałem sobie sprawę, że nie czuję się stabilnie. Zatrzymałem się przy bramie, by nabrać powietrza do płuc.

— Co jest?! — zapytał kumpel, jakby z pretensją, że się zatrzymałem i był na mnie zły, że zwlekam, gdy tam czeka na mnie Weronika. Na mnie? Czekwała na nas! To, co moje, było i jego.

— Piłem — odpowiedziałem natychmiast. — Wypilem dwa piwa.

— Co z tego?! Widziałeś tutaj kiedykolwiek policję?!

Miał rację — nie widziałem. Klepnął motorynkę w tylne siedzenie, jakby klepnął rumaka, i ruszyłem! Zeszłej nocy oglądałem całą trylogię *Władcy pierścieni*, którą miałem na VHS. Nie mogło się nie udać! Gnałem, jakbym uciekał przed samym Balrogiem! Weronika mogła mi zniknąć w każdym momencie, mogła pogodzić się z Rafałem. Ktoś mógł być szybszy, przyjechać czymś lepszym. Było tak wiele niewiadomych, a czas działał na moją niekorzyść.

Czułem, że kręci mi się w głowie, że nie panuję całkowicie nad pojazdem. Dwa żubry galopujące w moich żyłach to nie było takie nic. Nie miałem mocnej głowy. Ojciec mógłby wydoić i z pięć puszek, a jeździłby niczym Kubica, ja za mało w życiu w siebie wlałem, by wdrapać się na taki poziom.

W mojej głowie znów pojawił się ten ganek, znów Weronika. „Jeśli teraz mi się nie uda, będę całe życie żałował” — powtarzałem sobie w myślach. Kończyliśmy gimnazjum, każdy rozchodził się w swoją stronę. Przecież mogłem już jej nigdy nie zobaczyć. To były nasze ostatnie wakacje!

Chryste Panie, dałbym sobie rękę uciąć, że miałem przynajmniej z dwieście na liczniku. Co z tego, że motorynka miała na zegarze maksymalnie sześćdziesiąt. Nie miało to znaczenia. Ja jechałem dwieście!

Czułem siłę wszystkich moich przodków. Prułem po czarnym asfalcie, dziurawym jak ser szwajcarski, niepostrzymany niczym Paul Walker z *Szybkich i wściekłych*. Minąłem dom Agaty Błoch i pokazałem środkowy palec.

— Kiepsko całujesz! — wrzasnałem.

Nie byłoby takiej siły na niebie czy ziemi, by mnie postrzymać. Czułem moc.

I wtedy wydarzyło się coś niezwykłego, coś nie z tej ziemi. Mój pojazd uniósł się. Otworzyłem szeroko oczy, bo nie dowierzałem temu, co widzę. To było jak magia. Spojrzałem w dół. Rzeczywiście, oderwałem się od ziemi! Leciałem! Na wszystkich Kuczerów świata, ja leciałem! Leciałem po Weronikę! Mogłem ją odwieźć podniebną karocą! Byłem jak Rubeus Hagrid! Brakowało mi tylko parasolki! Miałem przed oczami dziecko moje i Weroniki. Roześmianą dziewczynkę. Widziałem to, tak! Widziałem siebie i Weronikę na studiach. Widziałem nas przy ołtarzu, nie wierzyłem w Boga, ale cholera jasna, czy to miało znaczenie? Widziałem nas tam. Jej kącik ust uniósł się, uśmiechała się do mnie. Widziałem, że jest roześmiana. Cieszyła się na mój widok. Uważała, że dobrze postąpiła, gdy wybrała mnie!

Minęło kilka sekund, kilka bardzo długich sekund, nim się zorientowałem, że nie unosi mnie magia, a po prostu najechałem na zgrubienie na krawężniku i wybiło mnie ponad ziemię.

Gdy to do mnie dotarło, przez tę jedną sekundę nie widziałem Weroniki, a swoją śmierć. Motorynka została gdzieś za mną, moje bezwładne ciało gruchnęło w asfalt, a potem przeturlałem się na pobocze. Poczulem najsilniejszy ból, z jakim przyszło mi się kiedykolwiek mierzyć. Był tak silny, że nie potrafiłem płakać. Nie mogłem się poruszyć, bolało mnie całe ciało. Krew? Była wszędzie. Miałem ją w uszach, ustach, czułem, że wlewa mi się do oczu. Zawylałem cicho jak kot. Pisałem. Nie byłem już Hagridem. Nie byłem nawet Filipem Kuczerą. Byłem papką. Małym, połamanym okruczem, odpadem, tym robakiem, którym obraziłem siostrę. Czułem się jak gówno.

Musiałem na chwilę odpłynąć, bo znienacka moją twarz zalało jasne światło. Oślepiało mnie. Leżałem taki połamany i żałosny. Nie mogłem się ruszyć. Może się bałem? Naoglądałem się filmów, w których łamano kręgosłupy. Leciały zawsze o dwudziestej piętnaście. Wiedziałem w tym temacie wszystko. Bałem się, że jestem złamany. Nie! Powtarzałem sobie, że tak nie może być! W moich wizjach z Weroniką nie byłem połamanym okruczem.

Usłyszałem szepc, później płacz. Ktoś wychodził z karetki. Ktoś trzasnął drzwiami. W oknach domów na całej długości ulicy paliły się światła. Widziałem starą Błońską, matkę Agaty, do której przed chwilą wrzasnąłem, że jej córka słabo całuje. Widziałem coraz więcej. Ktoś musiał przegasić reflektory karetki albo mój wzrok przyzwyczajał się.

Głową nie mogłem ruszyć, ale palcami już tak. Zalała mnie fala szczęścia, bo jeżeli mogłem ruszyć palcami, to oznaczało, że nie wszystko stracone.

W ciągu sekundy wpadałem w euforię, by po kolejnej czuć niewyobrażalny smutek. Szybko przeszła mi radość, gdy spojrzałem na swoją prawą rękę. Widziałem ją, widziałem kość. Krwi było więcej niż w tych serialach, o których matka cały czas mówiła, że są krwawe i że powinienem bać się Boga, gdy oglądałem takie rzeczy. Boga się nie bałem, śmierci już tak.

Dlaczego byłem przytomny? Cały czas zastanawiałem się, dlaczego nie mogę po prostu zemdleć? Zawsze ludzie budzili się dopiero w szpitalach, o ile się budzili, ale w filmach nigdy po wypadku ktoś nie leżał i nie zawodził żałośnie jak ja.

Pan z karetki już świecił mi latarką w oczy. Mówił coś do mnie, ale byłem w takim szoku, że nie potrafiłem odpowiedzieć.

Widziałem rodziców wysiadających z auta. Tata szedł chwiejnym krokiem — do Kubicy mu chyba jednak było jeszcze daleko.

Serce mnie bolało, gdy matka padła na kolana. Widziałem, jak ryczy niczym zwierzę, ale ratownik nie pozwolił jej się zbliżyć. Musiałem wyglądać pokracznie. Zaśmiałem się, nie wiedzieć czemu, rozbawiło mnie to. Nie miałem pojęcia, jakim cudem.

Widziałem oczy ratownika, odbijały się w nich refleksy światła karetki, które wcale nie przygaśły. Raz czerwony, raz niebieski. Jak cały kosmos, a w środku ja — samotna orbitująca planeta, która chyli się ku upadkowi swo-

jej gwiazdy, albo obiekt astralny pędzący prosto w stronę Ziemi, by spłonąć w atmosferze lub roztrzaskać się o jej skorupę. Moja matka, Matka Ziemia. I ja.

Coś ze mną robili, ale nie wiedziałem co, mimo iż wciąż byłem przytomny. Chyba mnie podnieśli, bo znów wzbiłem się do gwiazd. Leżałem na noszach.

Ojciec też nie wytrzymał, bo padł na kolana i zaczął się modlić. Znów się zaśmiałem, nie potrafiłem się powstrzymać. Nie byłem wredny, więc dlaczego się zaśmiałem? Ojciec odmawiał zdrowaśki, kilku sąsiadów się do niego przyłączyło. Matka nie była w stanie, cały czas łkała, a gdy spojrzała na moją rękę i wielką kość jak u dinozaura, która wystawała mi z ręki, zawyla jeszcze głośniej.

Była tam też Alicja Markiewicz. Patrzyłem na nią, a ona na mnie. Też chyba płakała, ale nie miałem co do tego pewności. Miała takie piękne krwistoczerwone usta i kremową cerę. Dżinsy tak świetnie leżały jej na biodrach. Mogłem tam teraz z nią siedzieć, pić piwo, czuć jej głowę na swoim ramieniu i żartować sobie, a zamiast tego pędziłem ku światłu.

— Alicja... — wymamrotałem, krztusząc się, jakby mi mogła w jakiś sposób pomóc.

O! Był też mój kumpel. Zerknął na mnie i zamarł, jakby spojrzał w oczy Meduzie. Podbiegł do motorynki i zaczął ją kopać. Biedną, nikomu nic niewinną motorynkę.

Wtedy poczułem falę gorąca. Znów musiałem na chwilę odplłynąć. Na jedną jedyną chwilę. Zacząłem płakać, bo chyba schodziła adrenalina i poczułem ból rozdzierający całe moje ciało, jakby ktoś kroił mnie żywcem.

Usztywniono mi głowę, więc już nie mogłem się odwrócić, ale widziałem rękaw ratownika. Na wszystkich

Kuczerów świata, krew musiała ze mnie lecieć niczym z kranu, bo z rękawa mojego wybawiciela dosłownie skapywała mi na czoło.

Wtedy dostrzegłem ją... Weronikę. Patrzyła na mnie.

Sprawczyńi tego całego zamieszania.

Taksowała mnie wzrokiem, jakbym był jakimś ohydny m płazem albo bardzo ciekawym obiektem muzealnym. Nie płakała, ale ręką zakrywała usta. Ściągnęła brwi, więc może i było jej mnie żal.

Naraz spostrzegłem coś, czego nie widziałem na boisku. Stała pod latarnią, blask oświetlał ją niczym kogoś świętego na jedynym z obrazów w centralnym budynku naszego miasteczka — w kościele. Spostrzegłem piersi przebijające się przez jej bluzkę. Nie miała stanika. To ci dopiero... Że też dopiero w tamtym momencie to zauważyłem, leżąc w kałuży własnej krwi, a może ściągnęła biustonosz po drodze. Nie miałem pojęcia, dlaczego takie myśli akurat teraz krążyły w mojej głowie.

Paranoja.

Wtedy znów usłyszałem płacz matki. Cholera, jaki płacz, to był lament! I ja też zapłakałem. Łzy spływały mi po skroniach. Byłem mały, bardzo mały. Czułem się tak bezsilny, jakbym znów miał siedem lat, nie szesnaście. Już nie marzyłem o zatopieniu się w ciele Weroniki, teraz marzyłem o mamie, o jej objęciach, o jej uścisku dłoni, o jej ciepłych słowach pocieszenia. O tym, by powiedziała mi, że wszystko będzie dobrze.

— Zabiłem go! — wrzasnął mój kumpel, kopiąc nogą w motorynkę, która leżała kilkanaście metrów dalej. — Zabiłem go! Zabiłem go!

Jeszcze zanim moi wybawcy zamknęli drzwi karetki, widziałem Rafała, który objął Weronikę. Chyba ich nieszczęścia poszły w zapomnienie, chyba pomogłem im się pogodzić. Byłem bohaterem. Tak, stał za nią, obejmował ją. Dotykał. Tak, nie miała stanika, byłem już tego pewny.

Nie liczyłem zdrowasiek wypowiedzianych przez mojego ojca, ale mógłbym przysiąc, że było ich przynajmniej kilkanaście.

Przez chwilę nie byłem już na jawie, ale we śnie też nie. Utknąłem gdzieś pomiędzy światami, jak to ja — zawsze pomiędzy, gdzieś na granicy galaktyk, a gdy znów usłyszałem sygnał karetki, zemdląłem.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

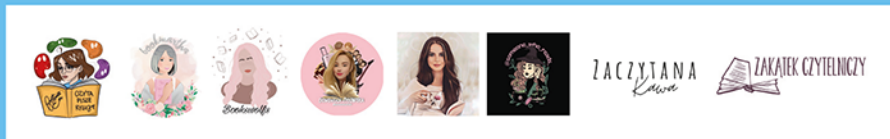
OPOWIEM CI O KLARZE I OPOWIEM CI O LECIE, KTÓRE NA ZAWSZE ZMIENIŁO MOJE ŻYCIE

Szesnastoletni Filip przeżywa lato swojego życia. Gra z kumplami na komputerze, szwędą się po okolicy i po raz pierwszy poznaje smak miłości. By zaimponować dziewczynie swoich marzeń, Weronice, na spółkę z kolegą kupuje motorynkę. Co prawda nie ma uprawnień, aby ją prowadzić, ale kto by się tym przejmował w małej miejscowości, do której policja zagląda sporadycznie. Do Pawlic prędzej dotrze obwoźny sprzedawca lodów niż policjany radiowóz.

Beztróskie wakacje gwałtownie się kończą, kiedy Filip wsiada nietrzeźwy na motorynkę. Chwilę wcześniej dostał szansę od losu – Weronika, która do tej pory go nie dostrzegала, potrzebuje podwózki do domu. Tylko głupi by nie skorzystał z takiej okazji! Filip odpala motocykl, rozpędza się i... unosi w powietrze, by po chwili boleśnie spaść i ostatecznie wylądować na oddziale chirurgii dziecięcej w Gliwicach. Tam poznaje rezolutną i pyską Klarę, która właśnie straciła nogę w wypadku samochodowym. Dziewczyna, mimo że sama ma nieciekawą sytuację, próbuje tchnąć nadzieję i ducha walki we wszystkich pacjentów oddziału.

CZY TO DOBRZE, ŻE NADZIEJA USKRZYDŁA?

PATRONI MEDIALNI:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-0304-3



9 788328 903043

cena: 42,90 zł